

Kultura

Paweł Głowacki

Zupa z anakondy

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Zanim odleciałem, Jan Frycz zaczął konsumować zupę, a przez widownię, niczym elektryczny węgorz, przeszła wieść najciemniejsza z ciemnych. *Nie ma już wyjściówek, nic, kompletne zero, bez szans... W kasie totalna pustka, ani pół wyjściówki, nawet najtańszych studenckich nie ma, ba, brak nawet wyjściówek na wyjście o własnych siłach... Katastrofa.* A może mi się tylko zdawało, że słyszę ten mruk?

Ależ pan nam malowniczo grzmotnął – szepnęła pulchna sąsiadka z lewej, dyskretnie pomagając mi powstać z wąskiego paska gleby między rzędami. Jakiś się pozbierałem, nastawiłem zwicnięty obojczyk, rozmasowałem nogi, wolno zająłem miejsce w fotelu. Przede mną była wieczność. Po latach wznowieni „Bracia Karamazow” Lupa skończyć się mieli jutro o 22, czyli prawie nigdy. Ziewam zdecydowanie za mocno, zapisuję frazę na dziś kluczkową. *W sobotę na widowni Kameralnego zbudziłem się o tej porze bezdusznej i nikłej, kiedy właśnie zupa się już skończyła, ale w istocie nie zdążyła jeszcze skończyć się na dobre.*

To prawie klasyczne zdanie mnie dopada, bo patrzę na scenę, a tam nic się nie zmieniło – Iwan Karamazow wciąż je zu-

pę, głębia sięga zenitu. Alosza Karamazow, który zjadł zupę w ludzkim czasie, wciąż drzemie w takt istotnego siorbania Iwana, wciąż drzemie, czyli wciąż jest natchniony. Ileż można jeść zupę? Jak długo można być natchnionym? I z czego ta zupa? Ze zdecydowanie za długiej anakondy, czy jak? No, przecież czterdzieści minut temu Jan Frycz rozpoczął konsumpcję zupy, potem ostro mnie zmogło, teraz zaś wracam na jawę, a Frycz dalej konsumuje jak konsumował, więc raczej nie może to być zupa z muchy. – *Niech się pan nie martwi – pulchna znowu szepcze. – Niech się pan cieszy – zupa długa, ale za to drugiego w ogóle nie będzie!* O tej porze bezdusznej i nikłej Frycz żółtawo chlipie więc pierwszą nieskończoność.

Obojętnie, nie wiem, czy to wszystko mi się śni, a jeśli nie wszystko, to co nie. W programie do spektaklu Lupa mówi, że ci po dziewięciu latach powtórzeni „Bracia...” są dla niego jak ucieleśniony sen. A dla mnie, skromnie nie widział tamtych, młodych i świeżych? Są dziś jak senna cielesność? W pierwszej przerwie pierwszych czterech godzin przy kasie rozgrywają się dantejskie sceny. Moja pulchna chce zastawić wszystko. – *Oddam futro z nutrii i no-*

we buty za wyjście przez kotłownię – syczy bez sensu. Znikąd odzewu. Pomysł, by się wydostać udając palto szczęśliwego posiadacza wyjściówki odrzucam jako zbyt śmiały. Obojętnie jeszcze bardziej. Pulchna też obojętnieje. Wszyscy z wolna obojętniejemy, zaczynamy człapać lunatycznie. Obojętność, może to jednak złe słowo. Kata-tonia jest lepsza, tak – wyprężenie ku dołowi brzmi lepiej. Wracam na widownię. Wolno człapiąc postanawiam, że będę spał w szatni pod wieszakami. Jestem bezwolny, jestem zatruty, jestem poza swoim ciałem. Wstrzyknięty Lupa już zaczął działać. Jacyś naiwni młodzieńcy ostro dyskutują kwestię podkopu. Na scenie inne krety ludzkie cicho klepią temat istnienia Boga. No, proszę, Dostojewski jest jednak ponadczasowy. A Lupa zdaje się być kompletnie ponadtekstowy.

Wciąż ten sam stary składzik kosmicznej tajemniczości. Garść ciemności, samotne okno z siną poświatą, postacie jak z mgły i galarety, cień na cień się nakładają, by inny cień uzyskać, psychiczne zapętlenia, węzły dla dusz śmiertelne, głębia, do nieprzytomności puchnący czas, zapatrzenia, ciągłe stany nieważkości, wolne kapanie kropel wody, dźwięki spoza świata, pokoik, który cicho jeź-

dzi, piękne obrazki, obrazek za obrazkiem, i tak dalej, w nieskończoność. A wyjściówek nie ma, jak nie było, podobno nawet komin do imentu zatkany. Zatem wciąż ta sama, misterna i mętna sieć Lupy, tego alchemicznego pajaka, i coraz inne, młhiej lub bardziej twarde słowa, co się w sieć łapią. Słowa Kubina, słowa Musila, Bernharda, Rilkego i Rezy. I powolne słów zasypianie w tych starych ciepłych betach dziwności. A słowa Dostojewskiego? Nie łapią się. Może mają za dużo ciała? Na tych „Braciach Karamazow” wystarczy zamknąć oczy, wystarczy odciąć od siebie wizyjne bety, po czym należy powiedzieć: dzień dobry, panie Dostojewski, witam w moim uchu. Przycho-dzą naraz wszystkie te problemy, co je ktoś kiedyś przeklęty-mi nazwał. Bóg i brak Boga, wą-tłość dobra i potęga zła, i ciągłe ludzkie wirowanie między ciem-nością i jasnością. Prawie święty Alosza, pozornie zimny mózg Iwana, infernalne szaleństwo Dymitra Karamazowa, totalny upadek ojca, jeszcze niebywałe kobiecości, Gruszeńka, Lise, Ka-tarzyna Iwanowna, jeszcze słu-żący Smierdiakow, najczarniej-szy z czarnych, i jeszcze zbrod-nia na starym Karamazowie, do której wszystko zmierza, od któ-rej wszystko się zaczyna na no-wo... Przychodzą zdania, oble-

piają cię, całkiem jak przy lekturze, jest coraz duszniej, coraz ciśnie, czujesz, że skóra ci pęka, czujesz, że zaraz stanie się nie do wytrzymania gorzko... Ale nagle zachciewa ci się spojrzeć na scenę – i jest po ptakach. Frycz metafizycznie tapla się w swej metafizycznej zupie – i jest akurat całkiem słodziutko. Albo kto inny czyni coś równie transcendentnopędnego – i wciąż słodko jest. Tak, Lupa jest słodki w istocie, od dawna to podejrzewałem, teraz wiem. I nie jest tak, jakoby gubił Dostojewskiego, on w Dostojewskiego po prostu nie trafia. W efekcie zostaje tylko Lupa. Zaledwie Lupa.

Nie pamiętam, kiedy to było, w trzeciej przerwie, może już na drugi dzień o 20, a może w nocy ktoś mi mówił, gdyśmy zasypiali pod wieszakami snem ludzi doskonale odklejonych, nie pamiętam, nieistotne zresztą. Grunt, że mówiono o tamtych pierwszych „Braciach...” Lupa, mówiono o fenomenie aktorstwa, o tych rozżarzonych minutach, kiedy to strach nabrał ciężaru ołowiu. Mówiono, że skóry na widowni rzeczywiście pękały. Nawet wierzę, ale co mi z tego, że wierzę? Znowu człapię po katatonicznych schodach, zasiadam na katatonicznej widowni (która to już godzina cierpienia? I za

jakie grzechy?), pulchna po lewej zapadła się kompletnie, jest myślą, co śni o mysiej dziurze. Patrę i oczy mnie przecież nie mylą. Widzę wielkich artystów sceny, co się bardzo dobrze czują i których dziś nie stać na odwagę prerażenia się tym, co ucieleśniają. Widzę garść jak popiołem a jego słowem widzę przepaść – i nic już nie wiem. Wiem tylko, że tego leja nie da się zalać nawet zupą z anakondy rekordzistki.

Wiem jeszcze, że w niedzielę o 22 jednak wyszedłem, choć jak wychodziłem, to nie byłem pewien, czy rzeczywiście wychodzę. Przetrawiałem wieczność. Bramy wreszcie jęknęły, ktoś mnie ubrał, wyprowadził, lekko popchnął, ocalałem. Biedna pulchna nie miała tyle szczęścia, desperacki sen o braku wyjściówek wzięła dosłownie. Tak, na końcu zawsze zostaje tylko Lupa i pulchna o szklanych oczach plastikowej lalki, na wieki człapiąca w porze bezdusznej i nikłej.

Stary Teatr. Fiodor Dostojewski „Bracia Karamazow”. Adaptacja, reżyseria i scenografia Krystian Lupa. Muzyka i opracowanie muzyczne Stanisław Radwan.